GRACZ

albo SZCZĘŚCIE W KARTY;
powieść *E. T. W. Hoffmanna.*
z niemieckiego.

W jesieni roku 182.. nierównie większa niż zazwyczay liczba osób znaydowała się w wodach Pyrmonckich. Z każdym dniem pomnażający się natłok bogatych cudzoziemców dodawał zapału wszelkiego rodzaju spekulantom, jakich w podobnych mieyscach zawsze jest pełno. Nie dali się wyprzedzić panowie przedsiębiercy gry faraona: lśniące się na stolikach zieloném suknem pokrytych kupy złota, zwabiały swoim blaskiem nierozważnych, jak przynęta, którey używa strzelec na sprowadzenie łatwowiernego źwierza.

Wiadomo powszechnie, że w porze kąpieli, podczas tych roskosznych zabaw, gdzie każdy od zwyczaynego trybu życia znayduje się oderwanym, wszyscy się oddają próżnowaniu, a gra staje się namiętnością nieprzezwyciężoną. Często ci nawet, którzy nigdy się kart nie dotykali, nie odstępują zielonego stolika oddając się zupełnie hazardownym gry rachubom. Do utrzymywania tey namiętności znacznie się też przyczynia dobry ton, nakazujący tracić co wieczor po kilka przynaymniey sztuk złota.

Młody baron niemiecki, którego nazywać będziemy Zygfrydem, stanowił jeden wyjątek od powszechnego prawidła. Gdy wszyscy skwapliwie do gry biegli, on pozbawiony przyjemney

rozmowy, czytaniem bawił się w swém mieszkaniu lub wychodził w pole dla napatrzenia się zachwycającey w tym kraju naturze.

Zygfryd był młody, niepodległy, bogaty, przystoyny; niemógł więc bydź niekochanym i niemieć szczęścia do kobiet. Szczęśliwa gwiazda zdawała się unosić nad nim i przewodniczyć we wszystkiém, cokolwiek zamierzał. Krążyły wieści o dwudziestu awanturkach miłośnych, dosyć niepospolitych, które się zawsze w naypomyślnieyszy i niespodziewany dla niego sposób zakończyły; naywięcey powtarzano historyą zegarka, który był dowodem nieprzerwanego jego szczęścia. Zygfryd w bardzo jeszcze młodym wieku, raz w takim podczas podróży znalazł się niedostatku, iż dla udania się w dalszą drogę, przymuszony był przedać zegarek, bogato wysadzany brylantami. Gotów już był go oddać za cenę bardzo nizką; w tém młody xiążę do tegoż hotelu przybyły, zapłacił mu sowicie za kosztowny zegarek. W rok potém Zygfryd wyszedłszy z opieki, objął już swóy majątek. Gazety ogłosiły wtenczas loteryą na zegarek. Zygfryd wziął bilet i za małą ilość wygrał ten sam, który wprzód był przedał. Wkrótce zamienił go na pierścień brylantowy. Poźniey, gdy pełnił służbę szambelana przy xięciu S**, ten w nagrodę jego gorliwości, darował mu tenże sam zegarek z kosztownym łańcużkiem.

To zdarzenie tém bardziey dowodziło uporu ze strony Zygfryda, gdy wzbraniał się do rąk wziąć kart, chociaż mu bezustanku uśmiéchała się fortuna. Wkrótce jednozgodny sąd stanął, że baron zbyteczném skępstwem kaził wszystkie świetne przymioty, i że się wzdrygał na naylichszą stra-

tę. Nie zastanawiano się bynaymniey, że postępowanie barona, usuwało od niego wszelkie podeyrzenie o chciwość; lecz, jak się dzieje zazwyczay, nieprzyjazna opinia rychło przemogła i nieodstępnie towarzyszyła jego osobie.

Baron dowiedziawszy się o pogłoskach, rozsiewanych o nim, wspaniały i szczodry, postanowił, pomimo potężnego wstrętu do gry, oddalić od siebie, za pomocą kilkuset czerwonych złotych, wszelkie podeyrzenia. Poszedł na salę gry, z mocném postanowieniem przegrania znaczney summy, którą wziął z sobą. Ale szczęście towarzyszące każdemu jego krokowi i tu było dla niego wierném. Każda karta na którą padł jego wybór, pokrywała się złotem. Rachuba nayzawołańszych graczów kruszyła się o grę barona. Naprożno porzucał karty, brał drugie, zawsze wygrana była z jego strony. Baron wystawiał rzadki i ciekawy obraz gracza, który wpada w rospacz, że mu los ciągle sprzyja. Na twarzach otaczających go osób, widać było, iż go obwiniano o nierozum, gdy się gniewał na fortunę i pragnął jey zmiany.

Ogromna wygrana obowiązywała barona do nieustawania w grze; spodziewał się wszystko przegrać nakoniec, co tylko wygrał; ale nie tak się stało, jego gwiazda tryumfowała. Coraz wzrastało jego szczęście, a baron, nie domyślając się nawet, znaydował powoli przyjemność w faraonie, który przy swojey prostocie nastręcza pole do nayhazardownieyszych kombinacyy.

Już się nie gniewał na swą fortunę; oddał się grze zupełnie, całe nocy trawił na niey. Nie nęciła go chęć zysku, ale w grze samey znaydował urok

osobliwszy, o jakim mu często powiadali przyjaciele, a czego nigdy nie mógł rozumieć.

Jedney z tych nocy, podnosząc oczy, gdy bankier kończył ciągnąć talią kart, spostrzegł naprzeciw siebie podżyłego już człowieka, którego wzrok smutny i surowy nie odstępował go ani na chwilę; za każdym razem, gdy baron grać przestawał, oko jego napotykało posępne weyrzenie nieznajomego, które mimowolnie go mięszało. Gdy się gra zakończyła, nieznajomy wyszedł z sali. Następney nocy, znowu zajął mieysce naprzeciw barona i znowu utkwił w niego wzrok przerażający. Baron wstrzymywał się jeszcze; ale gdy trzeciey nocy nieznajomy nanowo stanął przed nim, Zygfryd nie hamując się dłużey, zawołał: Mam honor prosić pana o wybranie innego mieysca; pan grze mojey przeszkadzasz.

Nieznajomy ukłonił się z boleśnym uśmiéchem, wstał od stolika i nie rzekłszy ani słowa wyszedł z sali. Ale nazajutrz w nocy, znowu trzymał wlepione posępne oczy w barona. Zygfryd w zapale gniewu porwał się z mieysca. Móy panie, rzecze, jeśli pan znaydujesz szczególnieysze upodobanie w przypatrywaniu mi się tak dziwném, proszę wybrać inną porę i inne mieysce, a dopiéro...... Skinienie ręki, ku drzwiom zwrócone, więcey powiedziało niż przykre słowa, od których baron się wstrzymał. I podobnie, jak poprzedzającey nocy, nieznajomy, ukłoniwszy się z takimże uśmiéchem, odszedł powoli.

Zygfryd rozogniony grą, winem i wspomnieniami przygody swey z nieznajomym, niemógł zasnąć ani na chwilę. Już dzień zajaśniał, a postać tego człowieka nie przestawała malować się

przed jego oczyma. Widział on ten dobitny wyraz na twarzy zgryzotami pomarszczoney; te oczy zapadłe i smutne, które na niego bez przerwy zwrócone były; to nędzne odzienie, pod którém zataić się nie mogła szlachetna postawa człowieka dobrego urodzenia. I ta boleśna rezygnacya, z jaką oddalił się z sali. Nie, zawołał Zygfryd, nie, moja w tém wina, wielka wina! Czyliż się godzi obruszać, jak żak nie unoszony, obrażać ludzi, którzy nie dali powodu do urazy? Baron przekonywał się, iż ten człowiek wpatrywał się w niego z uczuciem boleśney sprzeczności, jaka natenczas w ich położeniu zachodziła; on może przyciśniony nędzą, a baron rozsypujący kupy złota na kartę. Postanowił przeto wyszukać go nazajutrz i naprawić błąd swóy w obeyściu się z nieznajomym.

Tak chciał przypadek, że pierwszą osobą, którą baron spotkał na placu przechadzki, był nieznajomy. Baron się zbliżył do niego, wymawiał postępowanie swoje dnia wczorayszego, nakoniec wyraźnie go prosił o przebaczenie. Nieznajomy odpowiedział, że nic niema do wybaczenia, że na wiele słów, jakie graczom w zapale gry wymykać się zwykły, zważać nie należy; a wreszcie, on sam na siebie ściągnął kilka słów nieco żywszych, uporczywie trzymając się mieysca, na którém przeszkadzał baronowi.

Baron powiadał daley, że często tak się dzieje w życiu, iż człowiek naylepiey urodzony, w krytycznem położeniu, zbiegiem okoliczności znaleźć się może, i dał do zrozumienia, że gotów użyć części wygraney na wsparcie nieznajomego. Pan mię bierzesz, odpowiedział nieznajomy.

jomy, za człowieka przyciśnionego potrzebą; jednak nim nie jestem, a chociaż raczey ubogim niż bogatym zwać się mogę, to, co mam, wystarcza mi na skromne utrzymanie się. Zresztą, zgodzisz się pan na to, że gdy sądząc mię obrażonym, chcesz tę obrazę garstką pieniędzy naprawić, mnie niepodobna byłoby przyjąć podobnego wynagrodzenia....

— Rozumiem pana, rzekł baron, i gotów jestem dać mu wszelką satysfakcyą, jakiey tylko pan żądasz.

— O nieba! zawołał nieznajomy. Jakże nierówna byłaby między nami walka. Jestem przekonany, że pan, podobnie jak ja, nie uważasz pojedynku za igraszkę dziecinną, i nie mniemasz, że para kropel krwi albo zadraśnienie, zdolne są do naprawy skrzywdzonego honoru. Są zdarzenia, że dway ludzie żyć na tey ziemi razem nie mogą, choćby się jeden za Kaukazem, drugi nad Tybrem znaydował; bo niemasz rozdziału, skoro myśl się zwraca ku obmierzłemu przedmiotowi. Wtenczas pojedynek rozstrzyga, kto ze dwóch zostawi mieysce drugiemu na tey ziemi; wtenczas jest sprawiedliwym i koniecznym. Między nami, jak powiedziałem, walka byłaby nierówna, życie moje nie warte twego. Gdybyś pan poległ, zniszczyłbym cały świat nadziei; gdybym ja zginął, zniszczyłbyś życie pełne goryczy, byt już skruszony, który jest tylko okropną i rozdzierającą pamiątką. Ale naygłównieysza, że ja nie sądzę się obrażonym. Powiedziałeś mi pan żebym wyszedł, i wyszedłem.

Nieznajomy wymówił te ostatnie słowa tonem zdradzającym urazę wewnętrzną. To było

dla barona pobudką do ponowienia wymawiań się, do przytoczenia, że niewie, czém się to działo, iż wzrok nieznajomego przeszywał go aż do głębi duszy, tak, że już go znieść dłużey niemógł.

— Oby móy wzrok przeszywający głęboko zdołał cię panie oświecić o niebezpieczeństwie, na jakie się narażasz. Zbliżasz się nad brzeg przepaści z wesołością i płochością młodzieńczą; a jeden cios może cię nazawsze w nię strącić. Słowem, wkrótce zostaniesz namiętnym szulerem.

Baron utrzymywał, że nieznajomy zupełnie się w tém myli. Opowiedziawszy okoliczności, jakie go do gry wprowadziły, mówił, że gdyby potrafił pozbyć się dwóchset lub trzechset dukatów na stratę przeznaczonych, przestałby zaraz poniterować, ale mu szczęście nadzwyczay służyło.

— Niestety! zawołał nieznajomy — szczęście to jest nayokropnieyszą ponętą, jaką moc piekielna nastręczyć zdoła. Szczęście towarzyszące grze twojey, baronie; początek i dalsze twoje postępowanie, które pokazuje, iż powoli coraz z większym interessem przywiązujesz się do kart: to wszystko mi przypomina smutny los nieszczęśliwego, który z wielu względów do was baronie podobny, również jak wy, puścił się w tę drogę. Oto przyczyna, dla którey nie mogłem odwrócić oczu od was; oto wszystko, co oczy moje wyrazić chciały! Widząc szatanów rozwierających szpony, na pogrążenie cię w głąb' piekielną, czyliż mogłem gniewać się na ciebie? Chciałem zabrać znajomość i tego przynaymniey dokazałem. Dowiedz się o dziejach nieszczęśliwego; może potrafię cię przekonać, że niebez-

pieczeństwo, od którego ochronić cię chciałem, urojeniem nie jest. Nieznajomy usiadł na ławce, dał znak baronowi, żeby toż samo uczynił, i tak mówić zaczął:

„Też same świetne przymioty, któremi się szczycisz panie baronie, zjednały były dla markiza Menars szacunek i uwielbienie mężczyzn, a przychylność i względy łaskawe kobiét. W tém jednak, co się tycze majątku, nie tyle mu los sprzyjał, ile wam. Był on ubogi, i przy nayumiarkowańszém tylko życiu, mógł zachować powierzchowność przyzwoitą potomkowi znakomitego rodu. Ponieważ naymnieysza strata mogła zakłócić sposób jego życia, przeto zupełnie się wstrzymywał od gry; nie było to żadną z jego strony ofiarą, gdyż naymnieyszego pociągu do tey namiętności nigdy nie miał. Atoli, cokolwiek tylko przedsięwziął, to wszystko osobliwszym sposobem zawsze pomyślny miało skutek, tak, iż szczęście markiza Menars poszło w przysłowie.

Jedney nocy, wbrew zwyczajowi swemu, dał się wciągnąć do domu gry. Przyjaciele, którym towarzyszył, bez zastanowienia się puścili się na wszelką niepewność losu.

Nie biorąc ucześnictwa w tém, co się działo dokoła, markiz pogrążony w myślach odmiennego rodzaju, przechodził się po sali, rzucając okiem, już na graczów, już na stolik zielony, na którym ze wszech stron przypływało złoto do mass bankiera. Nagle, stary półkownik zoczywszy markiza, zawołał: Do djabła! jest tu markiz Menars z swojém szczęściem, a my nic wygrać nie możemy, bo się nie oświadczył, ani za bankierem,

ani za poniterami; ale nie długo to potrwa, musi wnet ze mną poniterować!

Naprożno markiz wymawiał się nieumiejętnością, brakiem doświadczenia; półkownik uparcie swego się trzymał; i Menars przymuszony był zaiąć mieysce przy stoliku.

Zdarzyło się właśnie toż samo z markizem, co i z wami baronie. Każda karta niosła dla niego względy fortuny; wkrótce wygrał znaczną summę dla półkownika, który nie mógł pohamować się w radości, że tak korzystnie użył szczęśliwey gwiazdy markiza.

To szczęście markiza zadziwiło wszystkich obecnych, lecz na nim żadnego nie uczyniło wrażenia; mniey mu dawało się uczuć, aniżeli wstręt do gry, i nazajutrz doznawszy skutków zmordowania po nocy bezsenney, w ciągłém umysłu natężeniu strawioney, postanowił nigdy nie nawiedzać domu gry, pod żadnym warunkiem.

Bardziey go jeszcze utwierdzało w tém postanowieniu postępowanie starego półkownika. Skoro tylko wziął karty do rąk, szło mu naynie-pomyślniey, i wtenczas cała niechęć zwracała się na markiza. Naysilniey nalegał na niego, żeby znowu poniterował, lub przynaymniey stał blizko, gdy on trzyma karty, a to dla odstraszenia swą przytomnością nieprzyjaznego mu złego ducha (bo nigdzie więcey niema podobnych przesądów, ile między graczami). Markiz niemógł inaczey pozbyć się natręta, jak oświadczając, że woli bić się z nim, niżeli grać nanowo.

Wiadomość o tém zdarzeniu szybko z ust do ust przechodziła, z dodaniem mnóztwa coraz dziwnieyszych okoliczności. Lecz gdy na przekorę

szczęściu swojemu, markiz nie dotykał się kart, nie mogli odmówić należnego hołdu stałości jego charakteru, oraz szacunku, na jaki zasłużył tak szlachetnym postępkiem.

Rok już upłynął, gdy markiz z powodu przerwaney wypłaty należności, która jedynėm była dla niego do utrzymania się źrzódłem, w nader krytycznėm znalazł się położeniu. Przymuszony odkryć się z tém, przed jednym z naybliższych przyjaciół, otrzymał wprawdzie pomoc, ale przy tém wymówki o dziwactwo i oryginalność charakteru.

Przeznaczenie, mówił przyjaciel, wskazuje nam zawsze, przez jakiekolwiek znaki, drogę, na którey zbawienie nasze znaydujemy; nasza niedbałość przeszkadza nam zwracać uwagę na te znaki i one poymować. Naywyższa władza, która nami rządzi, wyraźnie dała się słyszeć uszom twoim; mówi ona: jeśli chcesz bydź bogatym, mieć wiele złota, idź, gray w karty; bo inaczey pozostaniesz w nędzy, kłopotach, w zawisłości.

W teyto chwili myśl o szczęściu nieodstępném podczas gry faraona, żywo stanęła w jego umyśle; przez cały dzień, w nocy we śnie karty jedynie widział, słyszał tylko jednotonny głos bankiera, powtarzający ciągle: *wygrał, przegrał;* o uszy jego bezustanku obijał się brzęk złota.

To prawda jednak, mówił markiz sam do siebie, temu zaprzeczyć nie można, iż jedna noc podobna do tamtey, wyprowadziłaby mię z nędzy, wydarła straszliwey niepewności zostawania ciężarem dla przyjaciół moich; powinność moja nakazuje mi słuchać głosu przeznaczenia.

Przyjaciel, co go do gry zachęcał, towarzyszył

mu na salę, i dał dwadzieścia czerwonych złotych dla sprobowania szczęścia.

Jeżeli niegdyś poniterując dla starego półkownika, markiz grał bardzo pomyślnie, tą razą była to nieprzerwana koley nadzwyczaynych wypadków. Wygrane złoto, wznosiło się w kupach dokoła niego. W piérwszych chwilach to wszystko zdawało mu się marzeniem, przecierał oczy, dotknął się stolika i przysunął go do siebie. Lecz gdy widocznie przekonał się, że to się działo na jawie, gdy już opływał w złocie, gdy liczył i przeliczał z upodobaniem wygranę; roskosz pożerająca, poraz piérwszy opanowała całą jego istotę, a czystość duszy, którą tak długo zachowywał, już zginęła!

Ledwie już miał cierpliwość doczekać się nocy dla odnowienia gry. Szczęście służyło mu jednostaynie; w kilka tygodni, po nocach na grze strawionych, ogromną wygrał summę.

Dwa są rodzaje graczów. Dla jednych gra, jako sama gra, przynosi roskosz tajemną i nieopisaną; grają oni nie myśląc o zysku. Osobliwszy łańcuch trafu rozwija się w grze naydziwacznieyszey, hufce duchów niewidzialnych zdają się unosić nad nami, zdaje się, że słychać szelest ich skrzydeł. Pałamy żądzą przedarcia się do tey nieznajomey krainy, by rozważać skład machiny, którey wpływu doznajem; by przebiedz okiem te nadziemskie warstaty, na których się wyrabiają przeznaczenia ludzkiego wypadki. Znałem człowieka, który we dnie i w nocy, sam jeden grą się bawił, sam z sobą poniterował; ten, wedle mego zdania, prawdziwym był graczem. — Inni, zysk tylko mają przed oczyma; dla nich gra jedy-

nie jest środkiem rychłego zbogacenia się. Markiz do tey klassy przyłączył się; a tém samém potwierdził to zdanie, że naysilnieysza namiętność gry, od indywidualney natury zależy, że z nią razem na świat przychodzi.

Obręb, którego gracze trzymają się, wkrótce dla niego stał się ciasnym. Z ogromnych summ wygranych sam bank założył; fortuna tak wierną mu była, iż wkrótkim przeciągu czasu, stanął na czele naybogatszego banku w Paryżu. Ponure i namiętne życie gracza, zniszczyło prędko wszystkie przymioty fizyczne i moralne, jakie dla markiza powszechną miłość i szacunek jednały. Nie był to już przyjaciel wierny, dowcipny i przyjemny młodzieniec, grzeczny zalotnik dla kobiét. Zapał do nauk i sztuk pięknych, gasnął w nim codziennie, a w bladych i martwych rysach twarzy, w nieruchomych, zapadłych oczach, dobitnie malowała się pożerająca go namiętność. Nie był to zapał do gry, ale obmierzła chciwość złota, którą szatan w duszy jego rozżarzył: i żeby go jedném opisać słowem, markiz został bankierem naydoskonalszym, w całém tego wyrazu znaczeniu.

Jedney nocy zachwiało się nieco jego szczęście, acz bez znaczney straty. Wtenczasto, jakiś chudy, nizki staruszek, mizernie odziany, weyrzenia odrażającego, zbliżył się do stolika gry, drżącą ręką wziął kartę i przykrył ją sztuką złota. Wielu graczów z wielkiém podziwieniem patrzyło na starca; wyraźną mu okazywali pogardę, on zdawał się nie zważać na to i słówka jednego nie wyrzekł.

Starzec przegrał. Następnie tracił jednę staw-

kę po drugiey; lecz im większa była jego strata, tém większa radość innych graczów. Gdy nareszcie starzec podwajając ciągle stawkę, przegrał pięćdziesiąt czerwonych złotych na jednę kartę, jakiś gracz, śmiejąc się głośno, zawołał: „Dobrego szczęścia, signor Vertua, nie trać odwagi; poniteruy daley, trafiłeś na drogę fortuny, a wnet bank zniesiesz!"

Starzec rzucił wzrok bazyliszka na urągającego mu trefnisia i zniknął z sali; ale wpół godziny powrócił z kieszeniami napełnionemi złotem. Przy ostatniém atoli ciągnieniu przymuszony był zatrzymać się, bowiem wszystko przegrał, co z sobą przyniosł.

Pogarda i naygrawanie się okazywane starcowi, przykremi były dla markiza; życie nieporządne jeszcze nie wygładziło w nim uczuć grzeczności. Z tego powodu wymówił nieprzyzwoite obeyście się jednemu z pozostałych na sali graczów, po wyyściu starca.

—„Nieznasz, markizie, starego Francesco Vertua, zawołał gracz; bo inaczey, zamiast nagany, pochwaliłbyś głośno nasz postępek. Ten Vertua, Neapolitańczyk, od piętnastu lat zamieszkały w Paryżu, naywiększym zawsze jest niegodziwcem. Wszelkie uczucie ludzkości stało się obcém dla niego: widząc konającego oyca u stop swoich, nie dałby dukata dla ocalenia go od śmierci. Przeklęstwa licznych familiy piekielnemi spekulacyami jego zruynowanych, ścigają go wszędy. Ktokolwiek go zna, każdy się nim brzydzi i poleca go zemście niebiós. Nikt go nie widział grającego, łatwo więc zrozumiesz podziwienie nasze, gdyśmy uyrzeli wchodzącego tutay. Nie

byłożby to naywiększém nieszczęściem, gdyby ten człowiek nas ograł. Bogactwo waszego banku, sprowadziło go do was, a biedny staruszek utracił swoje piórka. Lecz już nie powróci przeklęty harpagon, już z nim rozstaliśmy się nazawsze."

Nie ziściło się to przepowiedzenie, bo następney nocy, Vertua znowu znaydował się przy banku markiza, gdzie też więcey niż wczora przegrał. Ale nie tracił spokoyności, owszem uśmiéchał się niekiedy z ironią, jakby przewidując, że zaraz wszystko póydzie inaczey. Strata jego atoli z każdą nocą wzrastała coraz bardziey, aż nakoniec policzono, iż przegrał bankierowi trzydzieście tysięcy czerwonych złotych. Jednego razu, gdy gra ciągnęła się już od dawna; wszedł on blady i smutny, usiadł zdaleka od stołu, mając wzrok wlepiony w karty, ciągnione przez markiza. Markiz zmieszawszy karty zabierał się ciągnąć nanowo, w tém starzec zawołał głosem, na który wszyscy zadrżeli: Proszę zaczekać. I przeciskając się przez tłum graczów, zbliżył się do markiza i głuchym głosem szepnął mu na ucho: Czy przyymiesz w ośmiudziesiąt tysiącach franków móy dom na ulicy S. Honoryusza, ze wszystkiém, co się w nim znayduje, meblami, srebrem i kleynotami?"

—„Dobrze, markiz ozięble odpowiedział, i nie obracając się do starca, zaczął ciągnąć.

—„Dama, rzekł Vertua; i za pierwszą damą przegrał wszystko. Ledwie się mogąc utrzymać na nogach, oparł się o ścianę, i jak posąg nie ruszał się z mieysca. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Gra się skończyła, rozeszli się gracze, markiz

z krupierem swoim zsypywali wygrane złoto do szkatułki; wtenczas stary Vertua, jak widmo, postąpił od ściany, i głosem ponurym przemówił: „Markizie, jeszcze słówko, jedno słówko!

—„Cóż takiego, słucham! odpowiedział markiz zamykając szkatułkę i z pogardą spoglądając na starca.

—„Straciłem wszystko przy twoim banku, mówił Vertua, nic mi nie pozostało, nic... Niewiem, gdzie jutro głowę mą przytulę, czém głód zaspokoję; markizie, u ciebie szukam wsparcia. Pożycz mi dziesiątą część summy odemnie wygraney, na rozpoczęcie nanowo handlu, na podźwignienie się z tey nędzy.

—„Cóż ci przyszło do głowy, signor Vertua? odpowiedział markiz; azali niewiesz, że bankier nigdy nie powinien oddawać swojey wygraney? To jest przeciwko wszelkim prawidłom, od których się nigdy nie uchylam.

—„Masz słuszność, markizie, mówił Vertua. Moje domagania się były niedorzeczne, przesadzone. Dziesiąta część! nie, pożycz mi tylko dwudziestą.

—„Mówiłem już, odparł markiz z gniewem, że nic nie pożyczę z wygraney!

—„Prawda—rzekł Vertua, coraz bardziey bledniejąc, coraz posępniey rzucając oczyma — prawda, nie powinieneś nic pożyczać. Jabym podobnież uczynił! Ależ wolno dać żebrakowi jałmużnę, day mi sto dukatów z tych bogactw, jakie ci szczęście dziś podało w ręce.

—„Nie, bynaymniey — zawołał rozgniewany markiz. — Signor Vertua umie się doskonale naprzykrzać. Powiadam ci, że nie dostaniesz ode-

mnie, ani stu, ani pięciudziesiąt, ani dwudziestu, nawet ani jednego dukata. Rozum stracić potrzeba, żeby ci nastręczać sposobów do zaymowania się obmierzłém rzemiosłem. Los pogrążył cię w prochu, jak robaka szkodliwego, a zbrodnią byłoby cię z tego stanu wydźwignąć. Idź, doznay losu, na jaki zasłużyłeś.

Vertua zakrył twarz obu rękami i westchnął głęboko. Markiz rozkazał służącym zanieść szkatułkę do poiazdu i głośno zawołał: kiedy mi oddasz swóy dóm i meble, signor Vertua?

Vertua powstał nagle i mocnym głosem odpowiedział: Zaraz, natychmiast, markizie; proszę iśdź ze mną.

—„Bardzo dobrze, rzekł markiz, odwiozę cię w moim pojezdzie do waszego domu, z którego jutro ustąpisz.

Jadąc, Vertua i markiz, nie przemówili ni słowa. Stanąwszy przed domem na ulicy S. Honoryusza, Vertua zadzwonił. Staruszka otworzyła i spostrzegłszy go zawołała: Ach! Boże! to WPan nareszcie! Panienka ledwie żyje z niespokoyności po panu.

—„Cicho! rzekł Vertua. Oby Angelika nie usłyszała tego nieszczęśliwego dzwonka. Nie mów jey, że przyszedłem.

To rzekłszy, wziął świécę z rąk starey, która osłupiała z podziwienia, i szedł przed markizem.

—„Gotów jestem na wszystko, mówił Vertua. Brzydzisz się mną, markizie, pogardzasz, cieszysz się z mojey zguby, a przecież mię nie znasz. Wiedz, że i ja byłem graczem, jakim dopiero jesteś, że los kapryśny przez długi czas mi sprzyjał, że przebiegając Europę, wszędzie mi szczę-

ście towarzyszyło, a złoto płynęło do mojego banku, jak dzisiay do twego. Miałem piękną i wierną żonę, ale opuszczona, żyła w nieszczęściu pośród dostatków. Pewnego dnia w Genui, gdzie natenczas bank trzymałem, młody Rzymianin cały swóy majątek znaczny, przegrał. Jak ja dopiero, on wtedy błagał mię o pożyczenie, choć szczupłey summy na powrót do Rzymu. Odmówiłem, śmiejąc się z pogardą, a on w uniesieniu wściekłości, sztylet utopił w mych piersiach. Z trudnością lekarze potrafili ocalić moje życie, powrót do zdrowia był długi i bolesny. Żona moja z naywiększą troskliwością mną zaymowała się, cieszyła mię, dodawała otuchy, koiła bole, a z powrótem zdrowia doznałem w sobie odrodzenia się uczuć, jakie mniemałem już wygasłemi, raczey doznałem namiętności nieznaney, bo wszystkie uczucia ludzkości wytępione są w sercu gracza. Nie wiedziałem natenczas jeszcze, co to jest miłość i wierne poświęcenie się kobiéty: czułem cały ciężar mojey winy względem żony mojey, żal mię dręczył, żem ją poświęcił straszliwemu popędowi do gry. Ci wszyscy, których o ruinę przyprawiłem, których byt cały z nayzimnieyszą krwią zniszczyłem, jak duchy mściwe, stawili się w moim umyśle; głuche ich wołania wydzierające się z grobu, zdawały się mi wyrzucać zbrodnie, jakich byłem sprawcą. Żona moja tylko umiała obecnością swoją odegnać ten przestrach, te nieopisane katusze! Poprzysiągłem nietknąć się żadney karty. Oddaliłem się, a wydarłszy się z krępujących mię więzów, odepchnąwszy nalegania krupierów, osiadłem w niewielkim letnim domku pod Rzymem. Niestety! rok tylko

doświadczyłem szczęścia i uciechy, jakie nigdy w myśli mey nawet nie postały. Żona moja wydając na świat córkę, w kilka godzin umarła. Pogrążony w gwałtowney rospaczy, złorzeczyłem niebu, przeklinałem samego siebie, i, jak zbrodniarz lękający się samotności, opuściłem móy dom, schroniłem się do Paryża. Angelika, wdzięczny obraz swey matki, wzrastała w oczach moich; wszelkie uczucia moje ku niey jedney się zwróciły. Dla niey jedynie pragnąłem powiększyć majątek. Prawda, pożyczałem pieniądze na wielkie procenta; ale to fałsz, żem oszukiwał nieszczęśliwych, którzy się do mnie udawali. A któż jest moim oskarżycielem? Oto nikczemni, którzy bezustanku uprzykrzają mi się o pożyczenie pieniędzy, marnotrawcy, którzy rozpraszając swe dostatki, wpadają w szaleństwo, gdy się domagam opłaty summ, mnie należnych, a których tylko uważałem siebie za kassyera, bo cały móy majątek był jedynie dla córki. Niedawno ocaliłem od hańby jednego młodzieńca, pożyczywszy mu znaczną summę. Czy uwierzysz, markizie, że się zaparł długu przed sądem, że go zaspokoić odmówił? Mógłbym ze dwadzieścia podobnych zdarzeń przytoczyć, które mię nieubłaganym uczyniły, które mię przekonały, że lekkomyślność zawsze ciągnie za sobą skażenie serca. Co większa: śmiało rzec mogę, iż nie mało łez otarłem, że nie jedna modlitwa wzniosła się ku niebu, za mną i za Angeliką; ale nie zechcesz mi wierzyć, obwinisz mię o samochwalstwo, bo sam jesteś graczem. Sądziłem, że już moc piekielna zaspokojona była, ale nie, oślepiła mię ona więcey, niż kiedykolwiek. Sły-

szałem o twojém szczęściu, markizie, codziennie spotykałem graczów, których puszczałeś na żebraninę; przyszło mi na myśl, że ja przeznaczony byłem, szczęścia, które mię nigdy nieodstępowało, sprobować z twojém; że byłem wezwany do położenia końca twoim łupieztwom, a ta myśl towarzyszyła mi nieprzerwanie. W tym celu przyszedłem do twego banku, którego nie odstąpiłem dopóty, aż cały majątek mojey Angeliki przeszedł w twoje ręce! Stało się! — Czy mi pozwolisz pan zabrać odzież mojey córki?

—,,Garderoba waszey córki nie należy do mnie, odpowiedział markiz. Możesz także zabrać swoje łóżka i naczynia kuchenne. Na co mi ta nędza; ale strzeż się zataić kosztownieyszych rzeczy, będę pilnował.''

Stary Vertua popatrzał przez kilka sekund na markiza, potém strumień łez z oczu mu popłynął; upadł na kolana przed markizem i zawołał głosem rozpaczy: — Mieyże choć jedno uczucie ludzkości! Miey litość nad nami! Nie mnie, lecz moję córkę, moję Angelikę, niewinnego anioła, przyprawiasz o zgubę! Na miłość bozką, ulituy się nad nią, pożycz jey, jey samey, dwudziestą część majątku mnie wydartego! Pewny jestem, że się dasz ubłagać! O Angeliko! moja córko!

I w tych jękach przerywanych łkaniem, ciągle powtarzał starzec imie ukochanego dziecięcia.

,, — Ta komedya nudzić mię zaczyna — rzekł markiz tonem gniewu; ale w tey chwili, drzwi się otworzyły, młoda dziewczyna w biéliznie, z rozpuszczonemi włosami, z wyrazem śmierci na twarzy, rzuciła się ku staremu, podniosła go, uścisnęła mocno i zawołała: Oy-

cze, móy oycze! Słyszałam wszystko, wiem o wszystkiém. Czyliż już wszystko straciłeś? czyliż już nie masz swojey Angeliki? nie będzież ona pracowała dla ciebie, móy oycze! Nie uniżay się dłużey przed tym dumnym człowiekiem. Nie my jesteśmy biedni i nieszczęśliwi, lecz on, co pośród bogactw żyje opuszczony i samotny; nie ma serca, któreby biło dla niego, przed którém mógłby się wywnętrzyć, gdy go życie w rospaczy pogrąży! Póydź móy oycze, opuść ten dom wraz ze mną; wychodźmy, niech ten człowiek nie cieszy się dłużey z twego żalu!

Vertua prawie bez zmysłów upadł na krzesło. Angelika uklękła przed nim, całowała jego ręce, okrywała go pieszczotami, z dziecinną szczebiotliwością, wyliczała wszystkie talenta, wszystkie wiadomości, które posiadała, a które mogły wystarczyć na utrzymanie oyca; ze łzami go zaklinała, żeby się nie poddawał żalowi: bo milszém dla niey będzie zatrudnieniem szycie, haftowanie, śpiewanie, na wyżywienie oyca, niżeli, jak teraz, dla własney tylko przyjemności.

Jakiż zakamieniały grzesznik mógł być obojętnym na widok Angeliki w całym blasku piękności, pocieszającey starego oyca, wylewającey przed nim wszystkie skarby serca swojego, wszystkie oznaki przywiązania i miłości dziecinney?

Zgryzoty gwałtowne dręczyły markiza. Angelika wydawała mu się aniołem, przed którym pierzchały wszystkie złudzenia lekkomyślności, wszelkie obłąkania występku; pożerające go nowe płomie, całą jego istotę zmieniło. Markiz nigdy się jeszcze nie kochał. Chwila, w którey uyrzał Angelikę, była dla niego zrzódłem męczarni bez

nadziei: bo taki, jakim się ukazał przed oczyma tey dziewicy, nie mógł mieć nadziei pozyskania jey serca. Chciał mówić, słów mu zabrakło, głos się stłumił, zaledwie zdołał wyjąkać: Signor Vertua .... proszę mię posłuchać .... ja nic nie wygrałem, nic. Oto jest szkatułka, twoja to własność ... Winien wam jestem prócz tego ... jestem waszym dłużnikiem ... proszę brać, proszę.

— „O córko! zawołał Vertua.

Lecz Angelika podniosła się z mieysca, zbliżyła się do markiza, i zmierzywszy go dumném okiem, rzekła dobitnie: „Panie markizie! proszę wiedzieć, że są rzeczy wyższe nad majątek i pieniądze, są uczucia wam obce, dla nas zaś będące źrzódłem niebieskiey pociechy; one nam nakazują odrzucić wasze dary z pogardą! Trzymay się skarbów, na których cięży przeklęstwo, które cię ścigać będzie, nielitościwy szulerze!

— „Tak, — zawołał markiz — niech będę przeklętym; niech wpadnę na samo dno piekła, jeśli ta ręka dotknie się karty! A jeśli mię odpychasz Angeliko, ty jedna staniesz się przyczyną mey zguby ... Ach! mnie nie rozumiesz .... Masz mię za szaleńca .... Ale zrozumiesz wszystko, dowiesz się o wszystkiém, gdy przyydę strzaskać czaszkę u nog twoich ... Angeliko, idzie tu o życie lub śmierć moję. Bądź zdrowa!

To rzekłszy, markiz zniknął. Vertua nawskróś przeniknął jego duszę; poznał co się z nim działo, i starał się przekonać Angelikę, iż mogą trafić się okoliczności, które go zmuszą do przyjęcia ofiary markiza. Angelika drżała na tajemne znaczenie słów oyca. Zdawało się jey, że nie inaczey na markiza spoglądać będzie, tylko z pogardą. Lecz to,

czego przypuszczać nie można było, co się wydawało niepodobném, ziściło się zrządzeniem losu, który wszelkie sprzeczności w głębi serca ludzkiego osadził.

Z wielkiém podziwieniem całego Paryża, bank markiza Menars zniknął z domu gry; on sam nigdzie się także nie pokazywał, co do tysiącznych kłamliwych wieści stało się powodem. Markiz unikał wszelkich towarzystw; miłość jego znaczyła się przez melancholią naygłębszą; czas mu przechodził na przechadzkach samotnych. Zdarzyło się jednego razu, iż w ciemnych alejach w Malmaison, spotkał niespodzianie starego Vertuę z córką.

Angelika, co wprzód spodziewała się z pogardą i obruszeniem tylko widzieć markiza, dziwnie wzruszona została, widząc przed sobą, bladego, smutnego, drżącego, zaledwie śmiejącego podnieść oczy na nią. Wiedziała, iż od pamiętney nocy, kiedy go po raz pierwszy uyrzała, markiz zupełnie zmienił sposób życia. Ona, ona jedna sprawiła tę odmianę! Ona ocaliła markiza od zguby; a tyle wpływu pochlebiło próżności kobiecey. Gdy więc markiz z jey oycem powitali się nawzajem, nie mogła przemódz na sobie, żeby nie oświadczyć, iż go widzi w niebezpiecznym stanie zdrowia.

Słowa Angeliki miały wszechmocny skutek. Markiz podniósł głowę; powrócił do wdzięku i zalotności uprzeymey, jakie mu dawniey serca wszystkich jednały. Nareszcie, po kilku chwilach rozmowy, Vertua zapytał, kiedy przyydzie objąć w swe władanie dóm wygrany.

— „Tak, — zawołał markiz — tak, Signor Vertua, jutro przyydę! Ale proszę pozwolić na to, a-

byśmy dokładnie naszę umowę napisali, choćby to i przez kilka miesięcy ciągnęło się.

— „Niech tak będzie, rzekł Vertua z uśmiechem.

Markiz przyszedł nazajutrz, coraz częściey potém powtarzał swe odwiedziny. Angelika codzień go z większą oglądała przyjemnością; on ją nazywał swym aniołem zbawicielem. Nakoniec, tak potrafił serce jey pozyskać, iż mu przyrzekła oddać rękę, z wielką pociechą oyca, który tym sposobem widział wynagrodzoną swą stratę.

Angelika, szczęśliwa narzeczona markiza Menars siedziała raz przy oknie, zatopiona w myślach o miłości i szczęściu, jakie pospolicie nasuwają się narzeczonym. Chorągiew strzelców konnych, idąca na wyprawę do Hiszpanii, przy trąb odgłosie przeciągała pod oknami. Angelika ciekawie spoglądała na ludzi przeznaczonych śmierci w tey okropney woynie, gdy w tém jakiś młodzieniec śpiął konia ostrogami i podniósł oczy na Angelikę. Na ten widok upadła bez zmysłów na krzesło.

Tym młodzieńcem był syn sąsiada nazwiskiem Duvernet; wychowany razem z Angeliką, codziennie ją odwiedzał, przestał zaś bywać w jey domu od tego czasu, gdy odwiedziny markiza stawały się coraz częstszemi.

Angelika nie tylko w oczach młodzieńca, miotających wyrzutami, wyczytała jak mocno ją kochał; ale poznała, że kochała go z całey duszy, że ją świetne przymioty markiza tylko zaślepiły. Wtedyto zrozumiała stłumione westchnienia młodego przyjaciela, jego miłość milczącą i nieśmiałą; pojęła to serce proste i szczere; poznała, co tak gwałtownie pierś jey wzdymało, gdy młody Du-

vernet znaydował się przy niey, gdy dźwięk jego głosu słyszała.

— „Za poźno! zginął już on dla mnie! rzekła do siebie Angelika. Mężnie zwalczyła uciskający ją smutek, a to męztwo wróciło jey spokoyność, przed wzrokiem atoli markiza nie mogło ukryć się to smutne w duszy Angeliki zdarzenie; delikatność jednak nie dozwalała mu śledzić ukrywaney przed nim tajemnicy; a to właśnie było dla niego pobudką przyśpieszenia ślubu, który się odbył z okazałością i smakiem, jakich on umiał użyć w każdey okoliczności.

Markiz nayczulsze dla Angeliki okazywał przywiązanie, naymnieyszym jey chęciom z naywiększą skwapliwością czynił zadość; ona dla niego była przedmiotem głębokiego uwielbienia: pamięć przeto o Duvernecie rychło zatarła się w jey sercu. A pierwszą chmurką, która zasępiła spokoyne ich życie; była choroba i śmierć starego Vertua.

Od pamiętney nocy, kiedy cały majątek przegrał markizowi, nie brał już kart w ręce; ale w ostatnich chwilach życia, namiętność gry zupełnie opanowała jego duszę. Kiedy ksiądz przynoszący mu pociechy kościoła, rozprawiał o rzeczach niebieskich, on z zamrużonemi oczyma, szeptał ciągle: *wygrał, przegrał;* a drżącemi, zlodowaciałemi już rękami naśladował tasowanie i mięszanie kart. Napróżno Angelika, napróżno markiz, oparci o jego łoże, nayczulszemi go okrywali imionami; już ich nie poznawał. Oddał ducha, westchnąwszy radośnie i zawoławszy: *wygrał!*

Angelika w głębokim pogrążona żalu, nie mogła się oprzeć tajemnemu wzruszeniu trwogi, roz-

myślając nad okolicznościami, jakie towarzyszyły śmierci oyca. Obraz tey straszliwey nocy, kiedy markiz po raz pierwszy stanął przed nią w odrażającey postaci namiętnego i zakamieniałego szulera, żywo się odnowił w jey myśli; zadrżała w obawie, ażeby markiz zrzuciwszy maskę anielską nie okazał się pod larwą piekielną.

Przeczucia Angeliki ziściły się po niejakim czasie.

Jakkolwiek przeraził trwogą markiza widok starego Francesco Vertua, odpychającego w chwili zgonu pomoc duchowną, dla zupełnego poddania się występney namiętności; nie mniey chęć gry panować nad nim zaczęła, w marzeniach każdonocnych, widział siebie samego siedzącego przy banku, w nowe bogactwa opływającego.

Kiedy Angelika, coraz mocniey trapiona wspomnieniami dawnego sposobu życia markiza, z trudnością znaydowała obok niego to wylanie się uczuć, które jey radość składało; podeyrzenia w duszy jey męża wzrastać zaczęły. Przypisywał tę zmianę on tajemnicy, dręczącey niegdyś Angelikę, a dotąd ukrywaney przed nim. Ta nieufność zrodziła zły humor, ten wybuchnął w przykrych słowach, i obudził w sercu Angeliki pamiątkę młodego Duverneta, a z nim smutne wspomnienie miłości zniszczoney nazawsze, wtenczas gdy rokowała długą szczęśliwość dwoyga kochanków. W podobném usposobieniu małżonków coraz się więcey przebijało goryczy, tak dalece, iż życie spokoyne, stało się wkrótce dla markiza nudném i nieznośném, a chęci jego ku światowi skierowały się znowu.

Bardziey go jeszcze utwierdzał w tém posta-

nowieniu, dawny jego krupier, trefny szyderca domowego jego życia, który, jak powiadał, nie mógł pojąć, czemuby markiz, dla jedney kobiety, wyrzekł się całego świata. I wkrótce bogaty bank markiza Menars w nowym zajaśniał blasku.

Nie odstąpiło go szczęście: ofiary po ofiarach padały pod jego razami, złoto ze wszech stron lało się strumieniem na jego stolik. Ale szczęście Angeliki, które było chwilowém tylko marzeniem, okrutnie zostało zniszczone. Markiz obchodził się z nią ozięble, nawet pogardliwie! Często trawił tygodnie, miesiące całe, nie widząc się z nią; stary kommissarz zarządzał domem; słudzy odmieniali się ciągle, podług kaprysu markiza; a Angelika, obca w własnym domu, z żadney strony nie miała pociechy. Często, śród nocy bezsennych, dawał się jey słyszeć turkot powozu, w którym markiz powracał; słyszała, jak niesiono ciężką szkatułę; słyszała jednozgłoskowe wyrazy, jakiemi ostro do służących przemawiał; potém drzwi jego mieszkania zamykały się z trzaskiem, a wtenczas potok łez płynął z oczu biedney Angeliki; w rospaczy powtarzała niekiedy imie Duverneta i błagała niebios o przyśpieszenie końca opłakanemu jey bytowi.

Trafiło się raz, że jeden młodzieniec znakomitego domu, wszystko przegrawszy, w łeb sobie strzelił w samém mieszkaniu, gdzie markiz bank trzymał. Krwią nieszczęśliwego i mózgiem zbryzgani gracze, rozpierzchnęli się w trwodze. Markiz niepokazując naymnieyszego po sobie wzruszenia, zimno zapytał, czy to było zwyczaiem rozstawać się przed naznaczoną godziną, że jakiś szaleniec nie umiał w grze zachować się.

Ten wypadek powszechne zrobił wrażenie. Nayzapamiętalszych graczów oburzyło postępowanie markiza: wszyscy na niego powstali. Policya zakazała mu trzymać bank. Obwiniano go o nieuczciwość w grze, niezmienne jego szczęście nie mało się przyłożyło do ugruntowania podobnych domysłów. Nie potrafił usprawiedliwić się, a kara, na jaką skazany został, pozbawiła go części dostatków. Zhańbiony, pogardzony, powrócił do żony swojey, z którą tak źle się obchodził, a która, widząc żal jego, z czułością go na powrót przyjęła: bo przykład oyca, który wyrzekł się gry, podawał dla niey jeszcze iskierkę nadziei.

Markiz opuścił Paryż, i z żoną udał się do Genui.

Tu, przez czas niejaki, żył na ustroniu; ale nie zadługo fatalna namiętność odrodziła się na nowo, a siła wszechwładna bez przerwy wyrzucała go z domu. Nieprzyjaźna mu opinia ścigała go z Paryża do Genui; nie mógł już myśleć o trzymaniu banku, jednak nieprzyzwyciężony pociąg wlókł go do gry.

W tymże czasie, półkownik francuzki, z powodu ciężkich ran, uwolniony ze służby, trzymał naybogatszy bank w Genui. Markiz, z sercem pełném gniewu i zawiści udał się na salę, w nadziei mierzenia się z bankierem. Półkownik przyjął go uprzeymie, mówiąc, że dopiero gra nabędzie wartości, gdyż markiz Menars ukazał się z swoją gwiazdą.

Rzeczywiście, w kilku pierwszych ciągnieniach karty zwyczayną koleją szły na stronę markiza; lecz gdy ufny w sprzyjającą mu fortunę, za-

wołał naostatek: *va banque;* za jednym razem przegrał ogromną summę.

Półkownik, pospolicie obojętny jak na przegranę, tak na wygranę, zbierał złoto markiza z nayżywszą radością. Od tey chwili, szczęście odstąpiło swojego polubieńca.

Co noc grał w karty, co noc przegrywał, aż nakoniec cały utracił majątek; dwa tysiące czerwonych złotych w papierach, jeszcze mu tylko zostawało.

Markiz dzień cały poświęcił na zrealizowanie tych papierów, i poźno wieczorem powrócił do domu. Za nadeyściem nocy, ostatniemi dukatami napełnił kieszenie i zabierał się do wyyścia, gdy Angelika, podeyrzywająca o co rzecz szła, zastąpiła mu drogę, padła mu do nóg i łzami je skrapiając, zaklinała na imie Boga, aby się wyrzekł swego przedsięwzięcia, aby jey nie pogrążał w nędzy i rozpaczy.

Markiz podniósł żonę, z boleścią przycisnął do serca i rzekł przytłumionym głosem: Angeliko, naydroższa moja Angeliko! nie mogę twym prośbom zadość uczynić. Ale jutro, jutro, skończą się twoje cierpienia; poprzysięgam ci na wszystko, co tylko mam nayświętszego, że dzisiay raz ostatni grać będę. Uspokóy się, moje życie; zaśniy, niech dni szczęśliwe, przyszłość pomyślnieysza towarzyszą twoim marzeniom; to dla mnie szczęście przyniesie!

Uścisnąwszy żonę, śpiesznie oddalił się z domu.

Dwa razy przeciągnięto talję, i markiz wszystko stracił, wszystko co na ostatku posiadał.

Osłupiały siedząc obok Półkownika, trzymał

nieruchomy wzrok na stoliku gry, wszelkiego czucia pozbawiony.

— „Cóż to, nie poniterujesz, markizie? rzekł Półkownik mięszając karty.

— „Wszystko straciłem, odpowiedział markiz, usiłując pokazać się spokoynym.

— „I nic ci już nie pozostało? zapytał Półkownik, ciągle mięszając karty.

— „Do torby przyszedłem! zawołał markiz, drżącym z wściekłości głosem, wzrok mając wlepiony w karty, nie widząc jednak że ponitero wie biorą przewagę nad bankierem.

Półkownik grał daley spokoynie.

— „Ale, masz żonę ładną? rzekł Półkownik z cicha, nie patrząc na markiza, i mięszając karty na drugie ciągnienie.

— „Co przez to rozumiesz? zawołał markiz z gniewem. Półkownik rzucał karty, nie dawszy odpowiedzi.

— „Dziesięć tysięcy dukatów lub Angelika, rzekł Półkownik, odwracając się na stronę, gdy kartę odkrywał.

—„Głupi jesteś, — odpowiedział markiz, wracając do siebie, i widząc, że Półkownik znacznie przegrywał.

— „Dwadzieścia tysięcy dukatów lub Angelika, szepnął Półkownik, zatrzymując kartę, którą miał odkryć.

Markiz milczał; Półkownik zaczął grę na nowo, a prawie wszystkie karty pomyślne były dla ponitерów.

— „Zgoda — szepnął markiz do ucha Półkownikowi, gdy ten zamyślał ciągnąć na nowo, — zgoda — i postawił damę.

Za następną kartą dama przegrała.

Cofnął się markiz zgrzytając zębami i oparł się o okno; śmierć i rozpacz malowały się na jego twarzy.

Gra się skończyła; Półkownik zbliżywszy się do markiza drwiącym zapytał tonem: No, cóż?

— „Czegoż chcesz? zawołał markiz. Przyprowadziłeś mię do torby, ale musiałeś rozum stracić, gdyś zamierzył wygrać żonę moję. Czyliż jesteśmy w koloniach? Czyliż żona moja jest niewolnicą, którą można przegrać lub przehandlować! Ale prawda, straciłem dwadzieścia tysięcy czerwonych złotych, straciłem prawo zatrzymania żony, jeśliby chciała póyśdź za tobą. Póydź ze mną, i rozpaczay, gdy moja żona ze wstrętem cię odepchnie, gdy nie zechce zostać twoją nałożnicą!

— „Ty sam rozpaczay,—odpowiedział Półkownik — jeżeli Angelika cię odepchnie, ta którey nieszczęść jesteś sprawcą, jeźli cię odtrąci z obrzydzeniem by póyśdź z rozkoszą w moje objęcia. Wiedz, że przysięga miłości połączy nas z sobą, że szczęście uwieńczy długie nasze żądze. Nazywasz mię bezrozumnym, o nie! ja tylko chciałem wygrać prawo ubiegania się o twoję żonę; byłem już pewny jey serca. Dowiedz się markizie, że twoja żona kocha, kocha mię naymocniey, wiem o tém dobrze. Ja jestem ten Duvernet, wychowany razem z Angeliką, nayżywszą miłością przywiązany do niey; ten sam Duvernet, któregoś wypędził przez swoje intrygi. Niestety! aż w chwili zgonu oyca swego poznała Angelika moję wartość. Wiem o wszystkiém. Ale już było za poźno! Zły duch natchnął mnie myślą, że gra mi poda sposobność zaguby twojey: całą duszą grze oddałem się. Ściga-

łem cię aż do Genui, i dokazałem swego! No, póydźmy do twojey żony.

Markiz, jak piorunem rażony, stał w naygłębszém osłupieniu. Tajemnica długo chowana odkryła się naostatek: cały ogrom nieszczęść, w jakie pogrążył biedną Angelikę ciężył mu na sercu.

—„Niech Angelika rozstrzygnie—rzekł przytłumionym głosem i poszedł za Półkownikiem, który przyśpieszonym krokiem zmierzał do jego mieszkania.

Przyszedłszy Półkownik ujął za sznurek od dzwonka, lecz markiz go odsunął. „Żona moja śpi dopiero, rzekł, czyliż chcesz zakłócić jey sen słodki?

—„Hm! —mruknął Półkownik—czyż Angelika doznała kiedykolwiek snu słodkiego, odkąd ją wtrąciłeś w stan tak opłakany?

To rzekłszy, chciał weyśdź do izby: Markiz upadł mu do nóg, i zawołał w rozpaczy: ulituy się nademną; zrobiłeś mię żebrakiem, zostaw przynaymniey żonę!

— „Również stary Vertua błagał cię na kolanach, a nie zdołał skruszyć kamiennego serca. Niechże cię na ostatek zemsta niebios dosięgnie!— I znowu zmierzał ku pokojom Angeliki.

Markiz skoczył ku drzwiom, otworzył, rzucił się na łóżko, gdzie spoczywała jego żona, rozsunął firanki, i wołał: Angeliko, Angeliko! — Nachylił się ku niey, wziął jey rękę, wymówił słów kilka głosem przerywanym, a potém krzyknął okropnie: patrz, wygrałeś trupa mojey żony!

Półkownik, z wezdrgnieniem zbliżył się. Żadnego znaku życia — Angelika umarła.

Półkownik gwałtownie uderzył się w czoło, wydał jęk boleśny i zniknął. Nigdy już o nim słychać nie było."

Skoro tylko nieznajomy zakończył swoję powieść, wstał z ławki i odszedł, a baron głęboko wzruszony, słowa przemówić nie mógł.

W kilka dni potém, znaleziono nieznajomego bez duszy we własném mieszkaniu. Apoplexya śmierci jego była przyczyną. Z papierów znalezionych przy nim, dowiedziano się, że tym człowiekiem, noszącym nazwisko Baudasson, był nieszczęśliwy markiz Menars.

Baron widział w tey przygodzie przestrogę niebios, które mu zesłały markiza Menars, dla ocalenia go w chwili, gdy już był na krawędzi przepaści, i nayuroczyściey postanowił oprzeć się wszelkim ponętom szczęścia w grze kartowey. Dotąd był wierny danemu słowu. *L.*

Słowik. (*Bayka*).

Słowiczek wylęgły w lecie,
Jeszcze w pałkach — słowem dziecie —
Poczynał niezgrabnie śpiewać. —
Wnet zaraz jego wyśmiewać,
Zbiegłszy się poczęli ptacy,
Naybardziey Gile junacy. —
Słowiczek do wiosny wzdychał. —
Gdy po śniegach świat osychał,
Gdy się niwy zieleniły,
Gdy się drzewa liściem kryły ....
Słowiczek wtenczas radośny,
Opiewał przybycie wiosny. —
Każdy słuchał z podziwieniem —
Każdy się nasycał pieniem.
Nawet i panowie gili.
Jemu się potém dziwili. — *J. G Jf. K.*